

# René



## FRANÇOIS-RENÉ DE CHATEAUBRIAND

René<sup>1</sup>

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

Przybywając do plemienia Naczeów<sup>2</sup>, René zmuszony był pojąć małżonkę, aby dostroić się do obyczaju Indian, ale nie żył przy niej. Melancholijna skłonność usposobienia ciągnęła go w głąb lasów; spędzał tam całe dni sam i zdawał się dziki pomiędzy dzikimi. Poza Szaktasem, swoim przybranym ojcem, oraz ojcem Suel, misjonarzem w grodzie Rozalii<sup>3</sup>, wyrzekł się towarzystwa ludzi. Dwaj starcy zdobyli wielki wpływ na jego duszę: jeden swą miłą pobłażliwością, drugi, przeciwnie, przez swą nadzwyczajną surowość. Od czasu polowania na bobry, kiedy to ślepy sachem<sup>4</sup> opowiedział Renému swoje przygody<sup>5</sup>, na próżno starał się go skłonić do wzajemnych zwierzeń. I Szaktas wszelako<sup>6</sup>, i misjonarz żywo pragnęli dowiedzieć się, jakie nieszczęścia mogły w Europejczyku szlachetnego rodu zrodzić szczególny zamiar zagrzebania się w puszczech Luizjany<sup>7</sup>. René, uchylając się naleganiom<sup>8</sup>, powoływał się zawsze na to, iż historia jego, ograniczająca się do dziejów myśli i uczuć, zbyt mało jest zajmująca. „Co zaś do wypadku, który zagnał mnie do Ameryki — dodawał — ten trzeba mi pogrzebać w wiekuistym zapomnieniu”.

Tak upłynęło kilka lat, a starcy wciąż nie zdołali mu wydrzeć jego tajemnicy. List, który René otrzymał z Europy za pośrednictwem biura misji zagranicznych, zdwoił jego smutek tak dalece, iż unikał nawet swoich sędziwych przyjaciół. Tym goręcej nalegali nań, aby im otworzył serce; a czynili to z taką delikatnością, słodyczą i powagą, iż wreszcie musiał uczynić im zadość. Umówił tedy<sup>9</sup> z nimi dzień, w którym zgodził się opowiedzieć, nie przygody życia, nie doznał bowiem żadnych, ale tajemne uczucia swej duszy.

Dnia dwudziestego pierwszego owego miesiąca, który dzicy nazywają Księżycem Kwiatów<sup>10</sup>, René udał się do chaty Szaktasa. Podał ramię staremu sachemowi i zaprowadził go pod sassafras<sup>11</sup>, na brzeg Meszasebe<sup>12</sup>. Niebawem i ojciec Suel zjawił się w oznaczonym miejscu. Jutrzenka wstawała; opodal równiny widniała wieś Naczeów, ze swym gajem morw i chatami podobnymi do ulów pszczelnych<sup>13</sup>. Kolonia francuska i port Rozalii znaczyły się na prawo, na wybrzeżu rzeki. Namioty, na w pół wzniesione domy, rozpo-

<sup>1</sup>René — tekst został opublikowany w jednym tomie wraz z utworami *Atala* i *Przygody ostatniego z Aben-serażów*, do których przedmowę napisał tłumacz, T. Boy-Żeleński. Została ona zamieszczona przed tekstem *Atali*. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Naczezi — plemię Indian Ameryki Północnej, jedno z większych plemion mieszkających na południu rzeki Missisipi. Wyróżniali się złożonym systemem wodzostwa oraz podziałem na szlachetnie urodzonych i zwykłych członków plemienia. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>gród Rozalii — kolonia francuska u Naczeów. [przypis autorski]

<sup>4</sup>sachem — wódz indiański w Ameryce Płn.; przywódca plemienny. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>Od czasu polowania na bobry, kiedy to ślepy sachem opowiedział Renému swoje przygody — co opisuje opowiadanie *Atala*. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>wszelako (daw.) — jednak. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>Luizjana — rejon geogr. w Ameryce Płn., nazwany na cześć króla Francji Ludwika XIV (fr. *Louis*), obejmujący większość dorzecza Missisipi: tereny na południe od Wielkich Jezior aż do Zatoki Meksykańskiej, pomiędzy Appalachami na wschodzie a Górami Skalistymi na zachodzie; od 1682 do 1762 terytoria Luizjany znajdowały się pod kontrolą francuską. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>uchylając się naleganiom — uchylając się od spełnienia ponawianych próśb. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>tedy (daw.) — zatem, więc. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>miesiąc, który dzicy nazywają Księżycem Kwiatów — maj. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>sassafras a. *sasáfras* — aromatyczne, wieczne zielone drzewo z rodziny wawrzynowatych, występujące we wsch. części Ameryki Płn. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>Meszasebe — rzeka Missisipi, w oryg. fr. *Meschacebé*, co autor w opowiadaniu *Atala* opatrzył przypisem: „prawdziwa nazwa *Mississippi* lub *Meschassipi*”. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>ulów pszczelnych — dziś popr.: uli pszczelich. [przypis edytorski]

częte fortyfikacje, wykarczowane pola rojące się od Murzynów, gromady białych i Indian, ujawniały na tej małej przestrzeni kontrast dzikości i cywilizacji. Ku wschodowi, na skraju widnokregu, słońce zaczynało pokazywać się między poszarpanymi szczytami Apalachów<sup>14</sup>, które rysowały się niby czcionki z lazuru na pozłacanych wysokościach nieba; na zachodzie Missisipi toczyła w majestatycznym milczeniu fale, tworząc wspaniałą ramę dla tego obrazu.

Młody człowiek i misjonarz podziwiali przez jakiś czas tę piękną scenę, ubolewając nad sachemem, który nie mógł się już nią cieszyć; następnie, ojciec Suel i Szaktas usiedli na trawniku u stóp drzewa; René zajął miejsce wśród nich i po chwili milczenia ozwał się do przyjaciół w te słowa:

— Rozpoczynając to opowiadanie, nie mogę obronić się uczuciu wstydu. Pokój serc waszych, czcigodni starcy, i spokój natury dokoła każą mi się rumienić za zamęt i burzę mej duszy.

Jakże będziecie się litować nade mną! Jak nędzne się wam zdadzą moje wiekuiście niepokoje! Wy, którzy wyczerпалиście wszystkie gorycze żywota, co pomyślicie o młodym człowieku bez siły i hartu, który w sobie samym znajduje swą udrękę i może się skarżyć jedynie na cierpienia, które zadaje sam sobie? Ach, nie potępiajcie go; aż nadto go już ukarano!

Przyszedłem na świat kosztem życia mojej matki; wydobyto mnie z jej łona przy pomocy żelaza. Miałem brata, którego ojciec mój kochał, ponieważ widział w nim pierworodnego. Co do mnie, zdany zawczasu obcym rękóm, wychowałem się z dala od rodzicielskiego dachu.

Uspodobienie miałem porywcze, charakter nierówny. Na przemian hałaśliwy i wesoły, milczący i smutny, skupiałem koło siebie młodych towarzyszy; następnie, opuszczając ich nagle, szedłem się na uboczu, aby spoglądać na pomykającą chmurę lub słuchać deszczu szemrzącego wśród liści.

Co jesieni odwiedzałem zamek ojcowski, położony wśród lasów, w pobliżu jeziora, w zapadłej okolicy.

Lękliwy i nieswój w obliczu ojca, odnajdywałem swobodę i wesołość jedynie przy siostrze mej, Amelii. Z siostrą tą, cokolwiek starszą ode mnie, łączyła mnie najściślej luba<sup>15</sup> zgodność usposobień i skłonności. Lubiliśmy się drapać<sup>16</sup> razem na pagórki, żeglować po jeziorze, przebiegać lasy w porze opadania liści: wspomnienie tych przechadzek dziś jeszcze napawa duszę mą rozkoszą. O złudy dzieciństwa<sup>17</sup> i ziemi rodzinnej, wy nie tracicie nigdy swej słodyczy!

To kroczyliśmy w milczeniu, chłonąc uchem głuchy szum jesieni lub szelest suchych liści, czepiających się smutno naszych stóp; to, w dobie niewinnych igraszek, ścigaliśmy jaskółkę na łące, łuk tęczy na dżdżystych pagórkach; niekiedy także mówiliśmy szeptem wiersze, które rodził w nas obraz przyrody. Za młodu pielęgnowałem Muzy; nie ma nic bardziej poetycznego niż szesnastoletnie serce w świeżości swoich uczuć. Ranek życia jest jak ranek dnia, pełen czystości, obrazów i harmonii.

W niedziele i dnie świąteczne słyszałem często w wielkim lesie, poprzez gęstwinę drzew, dźwięki odległego dzwonu, który wołał mieszkańców pól do świątyni. Oparty o pień wiązu, słuchałem w milczeniu nabożnego szeptu. Każde drżenie spiżu śczyło w mą prostą duszę niewinność sielskich obyczajów, spokój samotności, urok religii i słodką melancholię pierwszego dzieciństwa. Och, któreż niewdzięczne serce nie ścisnie się na dźwięk dzwonów rodzinnego miejsca, tych dzwonów, które drżały z radości nad jego kołyską, które oznajmiły jego przybycie na ziemię, zapisały pierwsze bicie serca, obwieściły szeroko dokoła świętą radość jego ojca oraz bardziej jeszcze niewymowne boleści i radości matki! Wszystko mieści się w owych zaczarowanych marzeniach, w których pogrąża nas dźwięk rodzinnego dzwonu: religia, rodzina, ojczyzna, i kolebka, i grób, i przeszłość, i przyszłość.

<sup>14</sup>*Appalachy* — góry we wsch. części Ameryki Płn. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*luby* (daw.) — miły, przyjemny, kochany. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*drapać się* — tu daw.: wdrapywać się. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*dzieciństwo* (daw.) — dzieciństwo. [przypis edytorski]

To prawda, iż oboje z Amelią bardziej niż ktokolwiek smakowaliśmy w tych poważnych i tkliwych myślach, ponieważ chowaliśmy oboje nieco smutku na dnie serca: mieliśmy to z Boga lub z matki.

Tymczasem ojciec mój uległ chorobie, która zawiodła go w niewiele dni do grobu. Oddał ducha w moich ramionach. Zawarłem znajomość ze śmiercią na ustach tego, który dał mi życie. Wrażenie było silne i trwa jeszcze. Wówczas to po raz pierwszy nieśmiertelność duszy objawiła się jasno moim oczom. Nie mogłem uwierzyć, aby to ciało bez życia było we mnie twórcą myśli; czułem, iż musiała ona przyjść z innego źródła; w świętej boleści, która bliską była szczęścia, obiecywałem sobie zjednoczyć się kiedyś z duchem ojca.

Drugi dziw utwierdził mnie w tej podniosłej myśli. Rysy ojcowskie nabrały w trumnie czegoś nadziemskiego. Dlaczego ta zdumiewająca tajemnica nie miałyby być wskazówką naszej nieśmiertelności? Dlaczego śmierć, która wie wszystko, nie miałyby wyryć na czole swej ofiary tajemnic innego świata? Dlaczego nie miałyby się rodzić w grobie jakaś wielka wizja wieczności?

Amelia, przygnieciona boleścią, schroniła się w głąb wieży, skąd słychać było rozbrzmiewające pod sklepieniami gotyckiego zamku śpiewy księży oraz dźwięki żałobnego dzwonu.

Odprowadziłem ojca na miejsce ostatniego schronienia; ziemia zamknęła się nad jego szczątkami; wieczność i zapomnienie przywały go całym swym ciężarem: tegoż samego wieczora obojętne stopy deptały po jego grobie; oprócz dla córki i syna, było już tak, jak gdyby nigdy nie istniał.

Trzeba było opuścić dach ojcowski, który stał się dziedzictwem brata; udałem się z Amelią do starych krewnych.

Zatrzymawszy się u wejścia zwodniczych dróg życia, przyglądałem się im kolejno, nie śmiejąc się w nie zapuścić. Amelia wspominała mi często o szczęśliwości życia zakonnego; mówiła, że jestem jedynym węzłem, który zatrzymuje ją w świecie; gdy to mówiła, oczy jej spoczywały na mnie ze smutkiem.

Z sercem wzruszonym tymi nabożnymi rozmowami, kierowałem często kroki w stronę klasztoru sąsiadującego z moim nowym schronieniem; przez chwilę nawet miałem pokusę, aby tam zagrzebać me życie. Szczęśliwi ci, którzy skończyli swą podróż, nie opuściwszy portu, i którzy nie wlekli, jak ja, bezużytecznych dni na ziemi!

Europejczycy, żyjący w bezustannym niepokoju, zmuszeni są budować sobie samotnie. Im bardziej serce nasze jest zgiełkliwe i bezładne, tym bardziej pociąga nas spokój i milczenie. Przytuliska te, otwarte dla nieszczęśliwych i słabych, często kryją się w dolinach, które budzą w sercu mgliste poczucie nieszczęścia i nadzieję schronienia; niekiedy także spotyka się je na wyniosłych miejscach, gdzie dusza pobożna, niby roślina górska, zdaje się wznosić do nieba, aby mu ofiarować swe zapachy.

Widzę jeszcze majestatyczne skojarzenie wód i lasów owego starożytnego opactwa, w którym zamyślałem umknąć życie swoje kaprysom losu<sup>18</sup>! Błądzą jeszcze o schyłku dnia w tych samotnych i pełnych echa krużgankach. Kiedy księżyc na wpół oświecał słupy arkad<sup>19</sup> i rysował ich cień na przeciwległej ścianie, zatrzymywałem się, aby poglądać<sup>20</sup> na krzyż, który znaczył pole śmierci, oraz na wysokie trawy rosnące między kamieniami grobów. O, ludzie, którzy, żyjąc z dala od świata, przeszliście od milczenia życia do milczenia śmierci, jakąż odrazą do ziemi groby wasze napełniały moje serce!

Czy to przez wrodzoną chwiejność, czy przez uprzedzenie do klasztornego życia, zmieniłem zamiar i postanowiłem puścić się w podróż. Pożegnałem się z siostrą; uściśnęła mnie ruchem, który podobny był do radości, tak jakby szczęśliwa była z tego rozstania; nie mogłem obronić się w myśli gorzkiej refleksji<sup>21</sup> o niestałości uczuć ludzkich.

Zaczem<sup>22</sup>, pełen zapału, rzuciłem się sam jeden na ten burzliwy ocean świata, którego ani portów, ani raf nie znałem. Odwiedziłem najpierw ludy, których już nie ma;

Samotność

<sup>18</sup>umknąć życie swoje kaprysom losu — uciec w swoim życiu od kaprysów losu. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>arkada — element architektoniczny składający się z dwóch podpór (filarów, kolumn) połączonych od góry lukiem. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>poglądać (daw.) — spoglądać, patrzeć. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>nie mogłem obronić się (...) refleksji — nie mogłem obronić się przed refleksją. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>zaczem (daw.) — po czym, następnie. [przypis edytorski]

zaprzagnąłem usiąść na szczątkach Rzymu i Grecji, krajów o silnej i mądrej pamięci, gdzie pałace tkwią zagrzebane w prochu, a mauzolea królów ukryte wśród głogów. Siło przyrody, a słabości człowieka! Żdźbło trawy przebija często najtwardszy marmur, którego wszyscy ci zmarli, tak potężni, nie podniosą nigdy!

Niekiedy wysoka kolumna jawi się samotnie wśród pustyni<sup>23</sup>, tak jak wielka myśl wznosi się od czasu do czasu w duszy spustoszonej przez wiek i nieszczęścia.

Rozmyślałem nad tymi pomnikami we wszystkich przygodach i we wszystkich godzinach dnia. Toż samo słońce, które widziało jak rzucano fundamenty pod te grody, kładło się, w moich oczach, majestatycznie na ich ruinach; księżyc, wznoszący się na czystym niebie między dwiema na wpół strzaskanymi urnami popiołów, oświecał blade grobowce. Często w promieniach tej gwiazdy tak podsycającej marzenia, zdawało mi się, że widzę Geniusza<sup>24</sup> wspomnień, jak siada zamyślony u mych stóp.

Ale znużyło mnie przetrząsać trumny, w których zbyt często poruszałem jeno<sup>25</sup> prochy zbrodni.

Chciałem przekonać się, czy żyjące plemiona ukażą mi więcej cnót lub też mniej nieszczęść niż wygase rasy. Przechadzając się pewnego dnia w wielkim mieście, poza jakimś pałacem, w ustronnym i pustym dziedzińcu, ujrzałem posąg, który wskazywał palcem miejsce wstawione ofiarą<sup>26</sup>. Uderzyła mnie cisza tych miejsc; wiatr tylko jęczał dokoła tragicznego marmuru. Robotnicy spoczywali obojętnie u stóp posągu lub też pogwizdując, obrabiali kamienie. Spytałem ich, co znaczy ów pomnik: jedni zaledwie mogli mnie objaśnić, drudzy zgoła byli nieświadomi katastrofy, której był pamiątką. Nic lepiej mi nie ujawniło istotnej miary wydarzeń i tego *nic*, którym jesteśmy. Co się stało z ludźmi, którzy czynili tyle zgiełku? Czas uczynił krok i powierzchnia ziemi zmieniła oblicze.

Szukałem zwłaszcza w swoich podróżach towarzystwa artystów i tych boskich ludzi, którzy opiewają na swej lirze bogów oraz szczęśliwość ludów szanujących prawa, religię i groby.

Ci śpiewacy są z rasy boskiej; posiadają jedyny niezaprzeczony dar, jakim niebo obdarowało ziemię. Życie ich jest zarazem naiwne i wzniosłe; sławią bogów złotymi usty<sup>27</sup> a są najprostszymi z ludzi; gwarzą jak nieśmiertelni albo jak małe dzieci; tłumaczą prawa wszechświata, a nie mogą zrozumieć najbliższych spraw życia; mają cudowne pojęcie o śmierci, a umierają, nie wiedząc sami kiedy, jak niemowlęta.

Na górach Kaledonii<sup>28</sup>, ostatni bard<sup>29</sup>, jakiego słyszano w tych pustkowiach, wyśpiewał mi poematy, których bohater krzepił niegdyś jego starość. Siedzieliśmy na kilku kamieniach zjedzonych mchem; potok płynął u naszych stóp; koza pasła się opodal wśród szczątków wieży, a wiatr morski świstał po chaszczach. Obecnie religia chrześcijańska, również córka wysokich gór<sup>30</sup>, zatknęła krzyż na pomnikach morweńskich bohaterów<sup>31</sup>

<sup>23</sup>pustynia — daw. każde pustkowie, gdzie nie mieszkają ludzie. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>geniusz — tu: duch opiekuńczy. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>w wielkim mieście (...) posąg, który wskazywał palcem miejsce wstawione ofiarą — w Londynie, za Whitehall, posąg Karola II. [Autor ma na myśli, że figura Karola II wskazuje na miejsce egzekucji jego ojca, króla Karola I Stuarta, obalonego przez poddanych i w 1649 ściętego za zdradę. W rzeczywistości posąg nie przedstawia Karola II, lecz jego brata i następcę, Jakuba II, obalonego podczas tzw. chwalebnej rewolucji (1688–89) ostatniego katolickiego króla Anglii i ostatniego króla, który rządził w sposób absolutny. Obecnie ten zabytek znajduje się na placu Trafalgar; red. WL]. [przypis autorski]

<sup>27</sup>usty (daw.) — dziś popr. forma N. lm: ustami. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>Kaledonia — hist. północna część wyspy Wielkiej Brytanii, obejmująca ziemie, które nie zostały podbite przez Rzymian; poet.: Szkocja. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>bard — poeta i pieśniarz celtycki, który wykonywał utwory z towarzyszeniem instrumentu podobnego do harfy, opiewając bohaterskie i tragiczne wydarzenia. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>religia chrześcijańska (...) córka wysokich gór — Jezus i jego uczniowie pochodzili z górzystej Galilei, po której wędrowali i nauczali. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>morweńscy bohaterowie — bohaterowie Morwenu, fikcyjnego szkockiego królestwa z III w. występującego w epickich, rzekomo starożytnych poematach celtyckich, opublikowanych po angielsku w latach 1760–73 przez poetę Jamesa Macphersona. Znane jako *Pieśni Osjana*, poematy te zrobiły wielkie wrażenie i stały się bardzo popularne w całej Europie; uważane za zabytki dawnej poezji, porównywane z utworami Homera, wywarły wielki wpływ na rozwój romantyzmu. [przypis edytorski]

i trąciła w harfę Dawida<sup>32</sup> nad brzegiem tegoż strumienia, w podłę<sup>33</sup> którego Osjan<sup>34</sup> dobywał jęku ze swej harfy. Równie pokojowa jak bóstwa Zelmy<sup>35</sup> były wojownicze, strzeże trzód tam, gdzie Fingal<sup>36</sup> toczył boje, i zaludnia aniołami pokoju chmury, dotąd zamieszkałe przez mężobójcze widziadła.

Starożytna i urokliwa Italia ukazała mi tłum swych arcydzieł. Z jakąż świętą i poetycką grozą błądziłem po tych rozległych budowlach, poświęconych przez sztukę religii! Co za labirynt kolumn! Jakie szeregi arkad i sklepień! Jakże piękne są szmery, które słyszy się dokoła tych kopuł, podobne do hałasu fal w Oceanie, do szeptu wiatrów w lasach lub do głosu Boga w świątyni! Architekt buduje, można powiedzieć, myśli poety i czyni je dotykalnymi zmysłom.

Mimo to czegoż nauczyłem się aż dotąd z tylą<sup>37</sup> mozołu? Nic pewnego u starożytnych, nic pięknego u współczesnych. Przeszłość i terażniejszość to dwa niezupełne posągi: jeden wydobyto pokaleczony od uszkodzeń wieków, drugi nie osiągnął jeszcze swej przyszłej doskonałości.

Ale być może, moi sędziwi przyjaciele, zdziwieni jesteście, wy zwłaszcza, mieszkańcy puszczy, iż zdając sprawę ze swych podróży, nie wspomniałem ani razu o pomnikach natury?

Jednego dnia, wstąpiłem na szczyt Etny, wulkanu, który płonie pośród wyspy. Ujrzałem, jak słońce wznosi się pode mną na bezkresnym widnokregu; ujrzałem Sycylię skurczoną niby mały punkcik u swoich stóp i morze rozpościerające się daleko w przestrzeni. W tym prostopadłym rzucie obrazu rzeki zdały mi się jeno geograficznymi liniami wykreślonymi na mapie; ale podczas gdy z jednej strony oko moje oglądało te przedmioty, z drugiej zanurzało się ono w kraterze Etny, której rozpalone wnętrzości jawiły się pośród oparów czarnego dymu.

Młody człowiek pełen namiętności, siedzący na paszczy wulkanu i płaczący nad śmiertelnymi, których siedziby zaledwie dostrzega u swoich stóp, jest z pewnością, o starcy, istotą godną jedynie waszego politowania; ale cokolwiek byście mogli o tym mniemać, widok ów daje wam obraz jego charakteru i egzystencji: w ten to sposób przez całe życie miałem przed oczami dzieło stworzenia, olbrzymie i niedostrzegalne zarazem, i otwartą przepaść pod nogami.

Wymawiając te ostatnie słowa, René umilkł i popadł w zadumę. Ojciec Suel patrzył nań ze zdumieniem, a stary ślepy sachem, nie słysząc już głosu młodzieńca, nie wiedział, co sądzić o tym milczeniu.

René obrócił oczy na gromadkę Indian, którzy mijali wesoło równinę. Nagle fizjonomia<sup>38</sup> jego roztkliwiła się, łzy popłynęły z oczu; wykrzyknął:

— Szczęśliwi dzicy! Och! czemuż nie mogę cieszyć się spokojem, jaki wam zawsze towarzyszy! Podczas gdy ja z tak niewielkim pożytkiem przebiegłem tyle okolic, wy, siedząc spokojnie pod dębem, pozwoliliście płynąć dniom, nie licząc ich biegu. Pobudką działania były jedynie wasze potrzeby: jak dziecko, między zabawą a snem, dochodziliście lepiej ode mnie do celów mądrości. Jeżeli owa melancholia, która rodzi się z nadmiaru szczęścia, spływała niekiedy w waszą duszę, niebawem otrząsaliście się z przelotnego smutku, a spojrzenie wasze wzniesione ku niebu szukało z roztkliwieniem tego nieznanego Czegoś, które lituje się nad biednym dzikim.

Tutaj głos Reného zamarł znowu; młodzieniec zwiesił głowę na piersi. Szaktas, wyciągając ramię w cień i ujmując za rękę swego syna, wołał wzruszonym głosem:

— Synu mój! Drogi synu!

<sup>32</sup>harfa Dawida — Dawida (ok. 1040–ok. 970 p.n.e.), króla Izraela, Biblia określa jako poetę i pieśniarza, grającego na cytrze, flecie, niekiedy na harfie, i przypisuje mu autorstwo utworów zgromadzonych w *Księdze Psalmów*. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>w podłę (daw.) — obok. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>Osjan — legendarny wojownik i bard celtycki, narrator i rzekomy autor cyklu epickich poematów, znanych jako „pieśni Osjana”. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>Zelma, właśc. Selma — zamek będący siedzibą władców Morwenu, królestwa opiewanego w pieśniach Osjana; przen. także jako nazwa krainy. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>Fingal — król Morwenu, ojciec Osjana i bohater jego pieśni. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>tyła (gw.) — tyle, tak dużo. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>fizjonomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

Melancholia

Szczęście, Melancholia

Na to wołanie młodzian, przychodząc do siebie i rumieniąc się za swe wzruszenie, prosił przybranego ojca, aby mu je przebaczył.

Wówczas stary dziki odparł:

— Mój młody przyjacielu, poruszenia serca takiego jak twoje nie mogą być równe; miarkuj jedynie ów charakter, który ci już sprawił tyle złego. Jeżeli więcej niż inni cierpisz nad sprawami życia, nie powinienes się temu dziwić: wielka dusza musi zamykać więcej boleści niż mała. Opowiadaj dalej. Przebiegliśmy wraz z tobą część Europy; daj nam poznać twą ojczyznę. Wiesz, że widziałem Francję, i znasz więzy jakie mnie z nią jednoczyły; chętnie posłucham o tym wielkim Wodzu<sup>39</sup>, który już nie żyje, a którego wspaniałą chatę oglądałem. Moje dziecko, ja żyję jedynie pamięcią. Starzec, wraz ze swymi wspomnieniami, podobny jest do spróchniałego dębu w lesie: dąb taki nie stroi się już własnym liściem, ale okrywa niekiedy swą nagość obcą roślinnością, która wyrasta na jego odwiecznych gałęziach.

Brat Amelii, uspokojony tymi słowy<sup>40</sup>, tak podjął dzieje swego serca:

— Niestety! ojcze, nie zdołam ci nic powiedzieć o tym wielkim wieku, którego tylko schyłek widziałem w mym dzieciństwie, a którego już nie było, kiedy wróciłem do ojczyzny. Nigdy u żadnego ludu nie dokonała się bardziej zdumiewająca i gwałtowna przemiana. Z wysokości Geniuszu, ze czci dla religii, z powagi obyczajów, wszystko zstąpiło nagle do gibkości dowcipu<sup>41</sup>, do bezecności, zepsucia.

Na próżno tedy spodziewałem się znaleźć w ojczyźnie środki do uspokojenia tego zamętu, tej gorączki pragnienia, jaka idzie za mną wszędzie. Nauka świata nie nauczyła mnie niczego, a mimo to nie miałem już błogości niewiedzy.

Siostra moja swym niewytłumaczalnym dla mnie postępowaniem zdawała się z umysłu<sup>42</sup> pomnażać me zgryzoty; opuściła Paryż na kilka dni przed moim przybyciem. Napisałem do niej, iż mam nadzieję podążyć za nią; odpowiedziała czym prędzej, aby mnie odwieść od tego zamiaru, podając za pozór, iż sama nie wie jeszcze, dokąd powołają ją sprawy. Jakież smutne refleksje czyniłem wówczas nad uczuciem, które obecność studzi, nieobecność niweczy, które nie zdoła się oprzeć nieszczęściu, a jeszcze mniej pomyślności!

Niebawem uczulem się bardziej samotny w ojczyźnie niż wprzód na obcej ziemi. Chciałem się rzucić na jakiś czas w wir świata, który był mi zupełnie obcy i który mnie nie rozumiał. Dusza moja, nie zużyta jeszcze żadną namiętnością, szukała przedmiotu przywiązania; ale spostrzegłem, iż daję więcej, niż otrzymuję. Nie podniosłego języka ani też głębokiego uczucia żądano ode mnie. Bawiłem się jeno zdrabnianiem swego życia, aby je zrównać z poziomem otoczenia. Uważany wszędzie za „romantyczną głowę”, wstydząc się roli, jaką odgrywałem, zmierzony<sup>43</sup> coraz to więcej rzeczami i ludźmi, postanowiłem usunąć się w jakiś kąt miasta, aby tam żyć zupełnie ustronnie.

Zrazu znalazłem przyjemność w tym pokątnym i niezawisłym życiu. Nieznany, poruszałem się w tłumie, w owej rozległej pustyni ludzkiej.

Często, przysiadłszy w jakimś mało uczęszczanym kościele, spędzałem godziny całe na dumaniach. Widziałem biedne kobiety, jak przychodziły padać na twarz w obliczu Najwyższego, lub grzeszników klękających przed trybunałem pokuty. Każdy, kto opuszczał ten przybytek, wychodził z bardziej rozjaśnioną twarzą; głuche zaś hałasy dochodzące z zewnątrz zdawały się niby fale namiętności i burz świata, zamierające u stóp świątyni Pańskiej. Wielki Boże, który widziałeś łzy moje płynące tajemnie w tych świętych zaciszach, wiesz ile razy rzucałem się do twych stóp, błagając, abyś mnie zwolnił z ciężaru istnienia lub też odmienił we mnie dawnego człowieka! Ach! któż nie czuł niekiedy potrzeby odrodzenia się, odmłodzenia w wodach rzeki, skrzepienia duszy w źródle życia? Któż nie czuje się niekiedy przygnieciony ciężarem własnego skażenia, niezdolnym uczynić nic wielkiego, szlachetnego, sprawiedliwego?

Kiedy zapadał wieczór, kierując się z powrotem ku memu schronieniu, zatrzymywałem się na moście, aby oglądać zachód słońca. Czerwony krąg, rozplamniając opary

<sup>39</sup>wielki Wódz [Francji], który już nie żyje, a którego wspaniałą chatę oglądałem — Ludwik XIV (1638–1715), król Francji od 1643; rezydował w pałacu w Wersalu, zbudowanym na jego polecenie. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>słowy (daw.) — dziś N. Im: słowami. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>dowcip (daw.) — rozum, inteligencja, spryt. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>z umysłu (daw.) — umyślnie, celowo. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>zmierzony — przejęty wstrętem, obrzydzeniem. [przypis edytorski]

miasta, zdawał się wahać powoli w złotej cieczy, niby wahadło zegaru<sup>44</sup> wieków. Szedłem wreszcie ku domowi wśród zapadającej nocy, poprzez labirynt samotnych uliczek. Patrząc na światła błyszczące w domach ludzkich, przenosiłem się myślą w kryjące się tam sceny bólu i radości i myślałem, że pod tyloma zamieszkałymi dachami, ja nie mam przyjaciela. Wśród tych dumań, na wieży gotyckiej katedry biła miarowymi uderzeniami godzina, powtarzała się na wszystkie tony od kościoła do kościoła. Niestety! każda godzina w społeczeństwie ludzi otwiera grób i każe płynąć łzom.

To życie, które mnie w pierwszej chwili oczarowało, stało mi się niebawem nie do zniesienia. Znużyło mnie powtarzanie się tych samych scen i tych samych myśli. Zacząłem zgłębiać własne serce, pytać, czego pragnę. Nie wiedziałem; ale wydało mi się nagle, iż z rozkoszą znalazłbym się w lesie. I oto już byłem gotów zakończyć na wiejskim wygnaniu drogę życia ledwie rozpoczętą, a w której już pochłonąłem wieki.

Chwyciłem się tej myśli z zapalem, jaki wkładam we wszystkie zamiary; wyjechałem natychmiast, aby zakopać się w chatce, tak jak ruszyłem niegdyś, aby objechać świat dokoła.

Winią mnie, iż jestem niestały w upodobaniach, że nie umiem się długo karmić jedną chimera<sup>45</sup>, że jestem pastwą<sup>46</sup> wyobraźni, która kwapi się docierać do dna mych rozkoszy, jak gdyby się czuła przygnieciona ich trwaniem; obwiniają mnie, że zawsze wybiegam poza cel jaki mogę osiągnąć: niestety! szukam jedynie nieznanego dobra, którego przecucie mnie prześladowuje. Czy to moja wina, jeżeli znajduję wszędzie granice, jeżeli to, co *skończone* nie ma dla mnie żadnej wartości? Mimo to czuję, iż przywiązuję się w życiu do pewnej monotonii wrażeń i gdybym był jeszcze na tyle szalony, aby wierzyć w szczęście, szukałbym go w przyzwyczajeniu.

Bezwarunkowa samotność, widok natury, wprowadziły mnie niebawem w stan niepodobny prawie do opisania. Bez rodziny, bez przyjaciół, można powiedzieć: sam na ziemi, nie zaznawszy jeszcze uczucia miłości, byłem niejako zmiażdżony nadmiarem życia. Niekiedy oblewałem się nagle rumieńcem, czułem, jak w moim sercu krążą niby strumienie żarzącej lawy; niekiedy wydawałem mimowolne krzyki; czym śnił, czy czuwałem, noce moje zarówno były niespokojne. Brakowało mi czegoś, aby wypełnić otchłań istnienia: schodziłem w doliny, wspinałem się na góry, przywołując całą siłą pragnień ideał przyszłej namiętności; tuliłem go w podmuchu wiatrów; zdawało mi się, że słyszę go w jęku rzeki; wszystko było tym urojonym majakiem, i gwiazdy w niebie, i nawet sama zasada wszechżycia.

Wszelako ten stan spokoju i zamętu, niedostatku i bogactwa, nie był bez pewnego uroku. Jednego dnia bawiłem się oskubywaniem gałązki wierzbowej nad strumieniem, wiążąc myśl z każdym listkiem uciekającym z prądem wody. Król, który lęka się w nagłej rewolucji postradać koronę, nie odczuwa żywszego lęku, niż ja go doznawałem za każdym wypadkiem, który groził szczątkom mej gałązki. O słabości śmiertelnych! O dziecięctwo serca ludzkiego, niestarzejącego się nigdy! Oto więc, do jakiego stopnia płochości może zstąpić nasz pyszny rozum! A wszakże prawdą jest, że wielu ludzi wiąże swe istnienie do rzeczy równie mało wartych, jak moje wierzbowe liście...

Ale jak wyrazić natłok ulotnych wrażeń, doznanych wśród tych przechadzek? Dźwięki, które wydaje namiętność w pustce samotnego serca, podobne są do szmeru wiatrów i wody w pustyni: człowiek rozkoszuje się nimi, ale nie zdołałby ich odmalować.

Jesień zaskoczyła mnie pośród tych dusznych<sup>47</sup> wahań: powitałem z zachwytem miesiąc burz. To byłbym chciał być jednym z wojowników, błędzących wśród wiatrów, chmur i widziadeł; to zazdrościłem wręcz losu pasterza, grzejącego oto ręce przy nędznym ogniu z chrustu roznieconym na skraju lasu. Słuchałem jego melancholijnych śpiewów, które przypominały mi, że w każdym kraju przyrodzony śpiew człowieka jest smutny, nawet kiedy wyraża szczęście. Serce nasze to instrument niezupełny, lira, w której brakuje strun, tak iż trzeba nam oddawać akcenty radości w tonach przeznaczonych dla westchnień.

W dzień błędziłem po rozległych zaroślach, spływających się z lasami. Jak mało trze-

Melancholia

Samotność

Melancholia

Błądzenie, Melancholia

<sup>44</sup>zegar — dziś popr. D. lp: zegara. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>chimera — w mit. gr. ziejący ogniem potwór z głową lwa, ciałem kozy i ogonem węża.; tu przenośnie: coś nierealnego, co istnieje tylko w marzeniach, urojenie, uluda. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>pastwa (daw.) — ofiara, zdobycz, żer dzikiego zwierzęcia. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>duszny (daw.) — duchowy; dotyczący duszy. [przypis edytorski]



ba było mym marzeniom! Uschły liść pędzony wiatrem przede mną, chata, z której dym wznosił się ku obnażonym wierzchołkom drzew, mech drżący od północnego poddmuchu na pniu dębu, ustronna skała, staw w pustkowiu, nad którym szumiała pożółkła trzcina! Samotna dzwonnica, wznosząca się het w dolinie, pociągała często me spojrzenia; często ścigałem oczami wędrowne ptaki przelatujące mi nad głową. Wyobrażałem sobie nieznanne brzegi, odległe strefy, do których spieszą; byłbym chciał znaleźć się na ich skrzydłach. Dręczyło mnie tajemne uczucie, czułem, że ja sam jestem jeno wędrowcem; ale zdawało mi się, że głos z nieba powiada mi: „Człowieku, czas twej wędrówki nie nadszedł jeszcze; czekaj aż się podniesie wiatr śmierci, wówczas rozwinięsz lot ku nieznanym strefom, których pożąda twoje serce”.

„Podnoście się rychło, upragnione burze, które macie unieść Renégo w przestwory innego życia!” Tak mówiąc, szedłem wielkimi krokami, z rozpromienioną twarzą, z włosami rozwianymi wichrem, nie czując deszczu ani chłodu, oczarowany, udręczony i jakby opętany przez demona własnego serca.

W nocy, kiedy Akwilon<sup>48</sup> wstrząsał mą chatą, kiedy deszcze waliły się strumieniami na dach, kiedy przez okno widziałem księżyc rozgarniający skłębione chmury, niby błądy okręt, który pruje fale, zdawało mi się, iż zdwojone życie tętni w moim sercu, że miałbym siłę stwarzać światy. Ach! gdybym mógł podzielić z innym sercem wzruszenia jakich doświadczałem! O Boże! gdybyś mi dał kobietę wedle moich pragnień; gdybyś, jak pierwszemu ojcu, przywiódł mi za rękę Ewę dobytą ze mnie samego... Piękności niebiańska! byłbym padł na twarz przed tobą, a potem, biorąc cię w ramiona, prosiłbym Przedwiecznego, aby ci oddał resztę mego życia.

Niestety, byłem sam, sam na ziemi! Tajemna omdlałość rozlewała się po moim ciele. Ta odraza do życia, którą odczuwałem od dzieciństwa, wracała z nową siłą. Niebawem serce przestało dostarczać pokarmu myśli, istnienie moje dochodziło mej świadomości jedynie przez głębokie uczucie nudy.

Walczyłem jakiś czas przeciw mej chorobie, ale z obojętnością i bez niezłomnej chęci zwycięstwa. Wreszcie, nie mogąc znaleźć lekarstwa na tę osobliwą ranę serca, która była zarazem nigdzie i wszędzie, postanowiłem rozstać się z życiem.

Kapłanie Najwyższego, ty, co mnie słuchasz, przebacz nieszczęśliwemu, którego niebo nieomal pozbawiło rozumu. Byłem pełen wiary, a rozumowałem jak niedowiarek; serce moje kochało Boga, a rozum zapoznawał<sup>49</sup> go; postępowanie moje, mowa, uczucia, myśli były jedynie sprzecznością, mrokiem, kłamstwem. Ale czy człowiek zawsze wie, czego chce, czy zawsze jest pewny tego, co myśli?

Wszystko zawodziło mnie naraz: przyjaźń, świat, samotność. Próbowałem wszystkiego i wszystko było mi zgubne. Odepchniętemu przez społeczeństwo, opuszczonemu przez Amelię, skoro i samotność mnie zawiodła, cóż pozostawało? To była ostatnia deska, na której miałem nadzieję się ocalić, i oto czułem, że i ona zanurza się w odmętach!

Powziąwszy postanowienie rozstania się z ciężarem życia, zamierzałem spełnić ten bezrozumny akt z całą pełnią rozsądku. Nic mnie nie nagliło; nie nazywałem chwili; chciałem smakować długimi łykami ostatnie godziny istnienia i zebrać wszystkie siły, aby za przykładem jednego ze starożytnych *czuć*, jak dusza ze mnie uchodzi.

Wśród tego uważałem za właściwe powziąć postanowienie dotyczące mego majątku; trzeba mi było napisać do Amelii. Wymknęło mi się parę słów skargi na jej zapomnienie i dałem zapewne upust rozrzewnieniu, jakie stopniowo ogarniało me serce. Wyobrażałem sobie wszelako, iż dobrze osłoniłem mą tajemnicę; ale siostra, przyzwyczajona czytać w zakątkach mej duszy, odgadła ją bez trudu. Zaniepokoiła się niezwykłym tonem listu oraz pytaniami w kwestii interesów, którymi wprzód nie zajmowałem się nigdy. Zamiast odpowiedzieć, zjechała niespodzianie.

Aby dobrze odczuć, jak gorzką musiała być później moja boleść i jak żywym było pierwsze uniesienie radości na widok Amelii, musicie sobie uprzytomnić, że była to jedyna istota na świecie, którą kochałem, że wszystkie me uczucia stapały się w niej wraz ze słodyczą wspomnień mego dzieciństwa. Witałem tedy Amelię jakby w upojeniu. Od tak

<sup>48</sup>Akwilon (mit. rzym.) — bóg północnego, zimnego wiatru. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>zapoznawać kogoś (daw.) — nie doceniać kogoś; przeoczać, zapominać o kimś. [przypis edytorski]

dawna już nie spotkałem nikogo, kto by mnie zrozumiał i przed kim mógłbym otworzyć duszę!

Amelia, rzucając się w moje ramiona, rzekła: „Niewdzięczny, chcesz umrzeć, a siostra twoja żyje! Wątpisz o mym sercu! Nie tłumacz się, nie uniewinniaj, wiem wszystko tak, jak gdybym była z tobą. Mnież<sup>50</sup> to chcesz oszukać, mnie, która patrzyłam na narodziny pierwszych twoich uczuć? Oto twój nieszczęśliwy charakter, łatwy do zniechęcenia, do niesprawiedliwości! Przysięgnij, dopóki tulę cię na sercu, przysięgnij, że ostatni raz poddałeś się tym szaleństwom; poprzysiąż, że nigdy nie targniesz się na swe życie”.

Wymawiając te słowa, Amelia patrzyła na mnie z tkliwością i współczuciem, okrywała moje czoło pocałunkami; miała w tej chwili coś prawie z matki, coś jeszcze bardziej tkliwego. Ach! serce moje rozplynęło się w radości; jak dziecko pragnąłem jedynie, aby mnie pocieszono; poddałem się władztwu Amelii; domagała się uroczystego zaklęcia; złożyłem je bez wahania, nie podejrzewając nawet, abym odtąd mógł być nieszczęśliwy.

Więcej niż miesiąc minął, zanim oswoiliśmy się z urokiem tego, że jesteśmy razem. Kiedy rankiem, miast<sup>51</sup> czuć się sam, usłyszałem głos siostry, doświadczałem drżenia radości i szczęścia. Amelia otrzymała od natury coś niebiańskiego: dusza jej miała te same niewinne powaby, co ciało; słodycz jej uczuć była wręcz nieskończona; umysł jej był samą jeno tkliwością i marzeniem; można by rzec, iż serce jej, myśl i głos jak gdyby wdychały jednogodnie; miała lekliwość i czucie kobiety, czystość i harmonię anioła.

Nadeszła chwila, w której miałem odpokutować wszystkie szaleństwa. W obłędzie moim posunąłem się do tego, iż pożądałem nieszczęścia, aby mieć bodaj rzeczywisty przedmiot cierpienia: straszliwe życzenie, którego Bóg, w gniewie swoim, wysłuchał aż nazbyt wiernie!

Cóż wam powiedzieć, o przyjaciele moi! Widzicie lży cieknące z moich oczu. Mogę<sup>52</sup> wręcz... Przed kilku dniami nic nie zdołałoby mi wydrzeć tej tajemnicy... Obecnie wszystko skończone!

Wszelako, o starcy, niechaj historia ta na wieki będzie pogrzebana w milczeniu: pamiętajcie, iż opowiedziałem ją jedynie pod drzewem pustyni<sup>53</sup>.

Zima miała się ku końcowi, kiedy spostrzegłem, że Amelia sama traci spokój i zdrowie, które zaczęła mi przywracać. Chudła, oczy zapadały się, chód stawał się ociężały, a głos zamglony. Jednego dnia zastałem ją całą we łzach, u stóp krucyfiksu. Świat, samotność, moja nieobecność, moja bliskość, noc, dzień, wszystko przejmowało ją lękiem. Mimowolne westchnienia zamierały na jej ustach; to wytrzymywała bez znużenia długą drogę, to wlokła się zaledwie; brała i porzucała robotę, otwierała książkę, nie mogąc czytać, zaczynała zdanie i nie kończyła go, zalewała się nagłe łzami i kryła się, aby się modlić.

Na próżno siliłem się odgadnąć tajemnicę. Kiedy, tuląc ją w ramionach, nagliłem ją pytaniami, odpowiadała z uśmiechem, że jest taka sama jak ja, że nie wie, co jej jest.

Trzy miesiące upłynęły w ten sposób, stan Amelii pogarszał się z każdym dniem. Jakaś tajemnicza korespondencja zdawała się być przyczyną jej łez; zależnie od listów bowiem, jakie otrzymywała, wydawała się spokojniejsza lub bardziej wzruszona. Wreszcie jednego rana, kiedy minęła godzina, o której śniadaliśmy razem, udałem się do jej pomieszczenia; pukam, nikt nie odpowiada; uchylam drzwi, nie ma nikogo w pokoju. Spostrzegam na kominku pakiet zaadresowany do mnie. Chwytam go z drżeniem, otwieram i odczytuję ten list, który przechowuję, aby unicestwić w sobie na przyszłość wszelkie drgnienie radości.

### *Do Renégo*

Niebo mi świadkiem, bracie, że oddałabym tysiąc razy życie, aby ci oszczędzić jednej chwili zgryzoty; ale sama trawiona nieszczęściem, niezdolna jestem dać ci szczęścia. Przebaczysz mi tedy, iż wymknęłam się jak zbrodniarka; nie umiałabym się oprzeć twoim prośbom, a trzeba było jechać... Boże, miej litość nade mną!...

<sup>50</sup>mnież — konstrukcja z partykulą wzmacniającą -że, skróconą do -ż. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>miast (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>mogę — konstrukcja z partykulą wzmacniającą -że, skróconą do -ż. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>pustynia — tu: pustkowie, odludne miejsce. [przypis edytorski]

Wiesz, René, że zawsze miałam skłonność do życia zakonnego; czas, abym skorzystała z ostrzeżeń nieba. Czemuż zwlekałam tak długo! Bóg karze mnie za to. Zostałam na świecie dla ciebie... Przebaczone, jestem jak obłąkana zgrzyzotą, iż muszę cię opuścić.

Czuję dziś, ukochany bracie, czuję dobrze, jak potrzebne są te miejsca schronienia, przeciw którym ty tak często powstawałeś. Są niedole, które na zawsze dzielą nas od ludzi: cóż by się stało wówczas z biednymi nieszczęśliwymi!... Przekonana jestem, że ty sam, bracie, znalazłbyś spokój w tych azylach wiary; ziemia nie posiada nic, co by było godnym ciebie.

Nie będę ci przypominała przysięgi: znam wagę twego słowa. Przysiągłeś, będziesz żył dla mnie. Czy może być coś bardziej nędznego, niż myśleć bez ustanku o ucieczce z życia? Dla człowieka twego charakteru tak łatwo jest umrzeć! Wierzaj siostrze, trudniej jest żyć.

Ale, bracie mój, opuść co rychłej tę samotność, niedobra jest dla ciebie; szukaj jakiegoś zatrudnienia. Wiem dobrze, że śmiejesz się gorzko z przymusu, który każe „obrać sobie zawód”. Nie pogardzaj tak doświadczeniem i mądrością ojców. Lepiej, drogi René, być nieco bardziej podobnym do ogółu ludzi, a czuć się nieco mniej nieszczęśliwym.

Być może znalazłbyś w małżeństwie ulgę na swe cierpienia. Żona, dzieci zapelnilyby twoje życie. A któraż kobieta nie starałaby się uczynić cię szczęśliwym! Żar twojej duszy, urok geniuszu, szlachetny i płomienny charakter, spojrzenie dumne i tkliwe, wszystko byłoby ci rękojmnią jej miłości i wiary. Ach! z jakąż rozkoszą tuliłaby cię w ramionach, do serca! Jak wszystkie jej spojrzenia, wszystkie myśli biegłyby za tobą, aby uprzedzić najłżejsze zgrzyoty! Byłaby wobec ciebie samą miłością, samą niewinnością; miałbyś uczucie, że odnalazłeś siostrę.

Udaję się do klasztoru w \*\*\*. Opactwo to, wznoszące się nad brzegiem morza, odpowiada stanowi mej duszy. W nocy, z głębi mej celi, będę słyszała szmer fal oblewających mury klasztorne; będę myślała o przechadzkach, jakie odbywałam z tobą wśród lasów, wówczas kiedy nam się zdawało, iż odnajdujemy odgłos mórz w rozkołysanych wierzchołkach sosen. Miły towarzysz mego dzieciństwa, czyż cię już nie ujrzę nigdy? Zaledwie nieco starsza od ciebie, kołysałam cię w kolebce; często sypialiśmy razem. Ach! gdyby wspólny grób zjednoczył nas kiedyś! Ale nie; trzeba mi spać samej pod lodowatym marmurem sanktuarium, gdzie spoczywają na zawsze dziewice, które nigdy nie kochały.

Nie wiem, czy zdołasz odczytać te wiersze na wpół zatarte łzami. Ostatecznie, towarzyszu mój, trochę wcześniej, trochę później, czyż nie trzeba by się rozstać? Czyż potrzebuję ci mówić o niepewności i małej wartości życia! Przypominasz sobie młodego M..., który zginął w katastrofie okrętu koło Isle-de-France<sup>54</sup>. Kiedy otrzymałeś jego ostatni list w kilka miesięcy po śmierci, jego powłoka ziemska nawet już nie istniała: w chwili gdy ty rozpocznaleś po nim żałobę w Europie, kończono ją już w Indiach. Cóż tedy jest człowiek, którego pamięć przemija tak szybko? Zanim część przyjaciół otrzyma wiadomość o jego śmierci, druga część pocieszyła się już po niej! Jak to, drogi, zbyt drogi René, zali<sup>55</sup> pamięć moja wymaże się tak rychło z twego serca? O bracie, jeśli oddzieram się od ciebie w czasie, to dlatego, aby nie być rozłączona z tobą w wieczności.

*Amelia.*

P. S. Dołączam tutaj akt darowizny mego mienia; spodziewam się, że nie odrzucisz tego dowodu przyjaźni.

<sup>54</sup>*Isle-de-France* — daw. nazwa wyspy Mauritius na Oceanie Indyjskim, używana w latach 1715–1810, kiedy wyspa była kolonią francuską. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>*zali* (daw.) — czyż, czy. [przypis edytorski]

Piorun, który uderzyłby u moich stóp, nie przejąłby mnie większą grozą. Jakąż tajemnicę ukrywała przede mną Amelia? Co ją zmuszało tak nagle do schronienia się w zakonne życie? Och! dlaczego przybyła odwracać mnie od mego zamiaru! Odruch litości powołał ją do mnie, ale niebawem, znużona uciążliwym obowiązkiem, spieszy porzucić niešťęśliwego, który miał tylko ją na ziemi. Człowiek mniema, iż uczynił wszystko, skoro przeszkodzi drugiemu człowiekowi umrzeć! W ten sposób żaliłem się na nią. Następnie wchodząc w głąb samego siebie: „Niewdzięczna Amelio — mówiłem — gdybyś była na moim miejscu, gdybyś, jak ja, zabłąkała się w pustce życia, ach, brat twój z pewnością by cię nie opuścił!”

Wszelako, kiedy odczytywałem jej list, znajdowałem w nim coś tak nieopisanie smutnego i tkliwego, iż serce mi wprost topniało. Naraz przyszła mi myśl, która zrodziła we mnie niejaką nadzieję: wyobraziłem sobie, iż może Amelia powzięła jakieś uczucie, którego nie śmie wyznać. Podejrzeńie to zdawało się tłumaczyć jej melancholię, jej tajemniczą korespondencję oraz gorący ton listu. Napisałem natychmiast do niej, błagając, aby mi otworzyła serce.

Odpowiedziała niebawem, ale nie odsłaniając tajemnicy: donosiła jedynie, że otrzymała dispense<sup>56</sup> od nowicjatu<sup>57</sup> i że niebawem złoży śluby.

Upór Amelii, tajemniczość jej słów oraz brak ufności w mą przyjaźń dotknęły mnie do żywego.

Po krótkim wahaniu, postanowiłem udać się do B\*\*\*, aby uczynić ostatni wysiłek. Droga wypadła mi przez okolicę, gdzie chowałem się dzieckiem<sup>58</sup>. Kiedy ujrzałem lasy, w których spędziłem jedyne szczęśliwe chwile w życiu, nie mogłem powstrzymać łez: niepodobna mi było oprzeć się pokusie ostatniego z nimi pożegnania.

Starszy brat sprzedał ojcowskie dziedzictwo, nowy zaś właściciel nie mieszkał na wsi. Przybyłem do zamku długą świerkową aleją; przebiegłem pieszko opustoszałe dziedzińce; zatrzymałem się, spoglądając na zamknięte lub wpół strzaskane okna, oset pleniący się u stóp murów, liście wyścielające progi i na samotny ganek, kędy<sup>59</sup> tak często widziałem ojca i jego wierne sługi. Stopnie były już pokryte mchem; żółte jaskry rosły między obluźnionymi i chwiejnymi kamieniami. Nieznajomy stróż otworzył znieacka drzwi. Wahalem się, czy mam przekroczyć próg; odźwierny zawołał: „No cóż, czy pan też zrobisz tak samo, jak ta obca dama, która przybyła tu przed kilku dniami? Kiedy miała wejść, zemdlala: trzeba mi było odnieść ją do powozu”. Łatwo mi było domyślić się „obcej”, która, jak ja, przybyła szukać w tych miejscach łez i wspomnień.

Zasłaniając na chwilę oczy chustką, wszedłem pod dach swoich przodków. Przebiegałem echowe komnaty, w których słycać było jedynie hałas moich kroków. Pokoje były zaledwie oświetlone słabym światłem, które przedzierało się przez zamknięte okiennice. Odwiedziłem komnatę, w której matka postradała życie, wydając mnie na świat; tę, w której zwykł był przebywać ojciec; tę, w której sypiałem w kołysce; tę wreszcie, w której siostrzane łono przyjęło pierwsze wylewy mej tkliwości. Sale były wszędzie odarte z obić, pajak snuł swą nić w opustoszałych łóżach. Wyszedłem spiesznie z zamku, oddaliłem się wielkimi krokami, nie śmiejąc odwrócić głowy. Jakież słodkie, ale jak szybkie są chwile, które rodzeństwo pędzi w zaraniu młodości, zjednoczone pod skrzydłem sędziwych rodziców! Rodzina człowieka trwa tylko jeden dzień; dech Boży rozwiewa ją jak dym. Zaledwie syn zna ojca, ojciec syna, brat siostrę, siostra brata! Dąb widzi, jak jego żołądździe kielkują dokoła niego; nie tak jest z dziećmi ludzi!

Przybywszy do B\*\*\*, kazałem się zaprowadzić do klasztoru; zażądałem rozmowy z siostrą. Doniesiono mi, że nie przyjmuje nikogo. Napisałem do niej: odpowiedziała, iż w chwili, gdy ma się poświęcić Bogu, nie wolno jej oddać ani jednej myśli światu; że jeśli ją kocham, nie zechcę gnębić jej mą boleścią. Dodała: „Wszelako, jeżeli jest twoim zamiarem zjawić się u ołtarza w dniu składania ślubów, zechciej służyć mi za ojca; to

<sup>56</sup>*dispensa* — wydawane w szczególnych przypadkach zwolnienie z obowiązku przestrzegania któregoś z przepisów prawa kościelnego. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*nowicjat* — okres próbny w zakonie, przeznaczony na sprawdzenie i przygotowanie kandydatów do życia zakonnego. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*chowałem się dzieckiem* (daw.) — wychowywałem się jako dziecko. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*kędy* (daw.) — gdzie. [przypis edytorski]

jedyna rola godna twego wielkiego serca, jedyna zbawienna dla naszej przyjaźni i mego spokoju”.

Ta zimna stałość, jaką przeciwstawiano żarliwości mego uczucia, wtrąciła mnie w gwałtowne uniesienie. To byłem bliski opuścić tę miejscowość, to chciałem zostać, jedynie po to, aby zakłócić obrządek. Piekło podszeptowało mi zgoła myśl, aby się zasztyletować w kościele i zmieszać w ten sposób me ostatnie westchnienia ze ślubami, które wydzierały mi siostrę. Przełożona klasztoru uprzedziła mnie, iż przygotowano ławkę w sanktuarium, i prosiła, abym przybył na ceremonię, która miała się odbyć już nazajutrz.

O brzasku usłyszałem pierwszy dźwięk dzwonów... Około dziesiątej na wpół żywo powlokłem się do klasztoru. Nic nie może dla człowieka być tragiczne, skoro się było świadkiem podobnego widowiska; nic nie może być bolesne, skoro się je przeżyło.

Ogromna ciżba ludu wypełniała kościół. Zaprowadzono mnie do ławki w sanktuarium; rzuciłem się na kolana, zaledwie wiedząc, gdzie jestem i na co się zgodziłem. Już ksiądz czekał u ołtarza; naraz otwiera się tajemnicza krata i jawi się Amelia, przystrojona z całym świeckim przepychem. Była tak piękna, było na jej twarzy coś tak niebiańskiego, że zbudziła<sup>60</sup> powszechny szmer zdumienia i podziwu. Zwyciężony wzniosłem bólem świętej, przygnieciony wspaniałością religii, uczulem, iż wszystkie gwałtowne zamiary rozplywają się; siły mnie opuściły, uczulem się spętany wszechpotężną ręką i w miejsce przekleństw i pogroźek znalazłem w sercu jedynie głębokie uwielbienie i jęki pokory.

Amelia zajęła miejsce pod baldachimem. Rozpoczyna się uroczystość przy blasku pochodni, pośród kwiatów i kadzideł, iżby ofiara stała się tym miłszą. Przy ofiarowaniu kapłan rozdził się z bogatych szat, zachował jedynie lnianą tunikę, wstąpił na kazalnicę i w patetycznej a prostej przemowie, odmalował szczęście dziewicy, która poświęca się Panu. Kiedy wymówił te słowa: „Objawiła się niby kadzidło, które strawia się w ogniu”, zdało się, iż wielki spokój i niebiańskie zapachy rozlewają się w audytorium; miałem uczucie, iż jestem w bezpiecznym schronieniu pod skrzydłami mistycznej gołębiczy, że widzę aniołów zstępujących na ołtarz i wstępujących ku niebu z pachnidłami i wieńcami.

Kapłan kończy przemówienie, przywdziewa z powrotem ornat<sup>61</sup>, podejmuje znów ofiarę. Amelia, podtrzymywana przez dwie młode zakonnice, przykłęka na najniższym stopniu ołtarza. Przychodzą wówczas po mnie, abym dopełnił funkcji ojcowskich. Na odgłos mych chwiejnych kroków w sanktuarium Amelia bliska jest omdlenia. Wskazują mi miejsce obok księdza, abym mu podał nożyczki<sup>62</sup>. W tej chwili czuję nowy przypływ wściekłości i szału; już mam wybuchnąć, kiedy Amelia, przywołując swe męstwo, rzuca mi spojrzenie zawierające tyle wyrzutu i boleści, iż czuję się zmiażdżony. Religia triumfuje. Siostra korzysta z mego pomieszenia, podaje śmiało głowę. Wspaniałe włosy sypią się ze wszystkich stron pod świętym żelazem; długa suknia z powiewnej tkaniny zajmuje miejsce wszystkich świeckich strojów, nie ujmując piękności Amelii nic z uroku; czoło kryje się pod lnianą opaską; a tajemniczy welon, podwójny symbol dziewictwa i religii, obejmuje ogoloconą głowę. Nigdy nie wydała mi się tak piękna. Oko pokutnicy utkwione było w prochu ziemi, dusza zaś była w niebie.

Wszelako Amelia nie wyrzekła jeszcze ślubów: aby umrzeć dla świata, trzeba jej było przejść przez grób. Kładzie się na marmurze; rozciągają na niej całun śmiertelny; cztery pochodnie znaczą cztery jego rogi. Kapłan, ze stulą<sup>63</sup> na szyi, z książką w ręku, rozpoczyna modlitwy za umarłych; młode dziewice podejmują je dalej. O rozkosze religii, jakież jesteście wielkie, ale jak straszliwe! Zniewolono mnie, abym ukląkł w pobliżu tego posępnego orszaku. Nagle niewyraźny szmer wychodzi spod grobowej zasłony; pochylam się i te przerażające słowa (które ja jeden tylko słyszałem) uderzają moje uszy: „Boże miłosierdzia, spraw, abym się już nie podniosła z tego śmiertelnego posłania, i obsyp dobrodziejstwami<sup>64</sup> brata, który nie podzielił mej zbrodniczej miłości”.

<sup>60</sup>zbudziła — tu: wzbudziła. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>ornat — w liturgii rzymskokatolickiej: wierzchnia szata używana przez księdza podczas odprawiania mszy. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>miejsce obok księdza, abym mu podał nożyczki — podczas ceremonii przyjmowania do zgromadzenia zakonnego kobiecie obcina się włosy. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>stula — w liturgii rzymskokatolickiej: rodzaj szarfy zawieszanej na szyi przez kapłana. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>dobrodziejstw (daw.) — dziś popr. forma N. Im: dobrodziejstwami. [przypis edytorski]

Na te słowa wydzierające się z trumny oślepią mnie blask straszliwej tajemnicy; rozum mi się mąci, osuwam się na śmiertelny całun, tulę siostrę w ramiona i wołam: „Czysta małżonko Jezusa Chrystusa, przyjm me ostatnie uściśnienie poprzez lody zgonu i otchłanie wieczności dzielące cię już od brata!”

Ten wybuch, ten wykrzyk, te łzy mącą obrządek: ksiądz przerywa, zakonnice zapuszczają kratę, tłum faluje i tłoczy się ku ołtarzowi, wynoszą mnie bez zmysłów. Jakże mało wdzięczności czułem dla tych, którzy mnie przywołali do życia! Dowiedziałem się, otwierając oczy, że dopełniono obrządku i że siostra dostała ataku gorączki. Kazała mnie prosić, abym się już nie starał jej widzieć. O nędzy mego życia! Siostra lęka się mówić z bratem, brat wzdryga się odezwać do siostry! Wyszedłem z klasztoru niby z owego miejsca pokuty, gdzie płomienie przygotowują nas do niebiańskiego życia i gdzie straciło się, jak w piekło, wszystko prócz nadziei.

Można znaleźć w duszy siłę przeciw osobistemu nieszczęściu; ale stać się mimowolną przyczyną nieszczęścia drugiej istoty, to wręcz nie do zniesienia. Przejrzawszy nieszczęście siostry, wyobraziłem sobie, co musiała wycierpieć. Wówczas stały mi się jasne różne rzeczy, których nie umiałem wprzód zrozumieć: owo pomieszanie radości i smutku, które Amelia objawiła w chwili odjazdu mego w daleką podróż, to wytrwałe unikanie mnie po powrocie, a równocześnie ta słabość, która tak długo nie pozwoliła jej wstąpić do klasztoru; niewątpliwie biedna dziewczyna ludziła się nadzieją uleczenia! Zamiar usunięcia się od świata, dyspensacja od nowicjatu, rozrzucenie majątkiem na mą korzyść były najwidoczniej przedmiotem tajemnej korespondencji, która zdołała mnie omylić.

O, moi przyjaciele, dowiedziałem się tedy, co to jest wylewać łzy dla cierpienia, które nie jest urojonym! Płomień mej duszy, tak długo nieokreślony, rzucił się z wściekłością na tę pierwszą ofiarę. Znalazłem nawet jakieś nieoczekiwane zadowolenie w pełni mej zgryzoty i spostrzegłem, z tajemnym uczuciem radości, że ból nie jest uczuciem, które by się wyczerpywało jak rozkosz.

Chciałem opuścić ziemię przed rozkazem Wszechmogącego; była to wielka zbrodnia: Bóg zesłał mi Amelię, zarazem, aby mnie ocalić i ukarać. Tak, wszelka myśl występna, wszelki czyn zbrodniczy pociąga za sobą zamęt i nieszczęście. Amelia prosiła mnie, abym żył; powinnością moją było nie pomnażać jej nieszczęść. Zresztą (rzecz osobliwa!) od czasu, gdy byłem istotnie nieszczęśliwy, nie pragnąłem już umrzeć. Zgryzota stała mi się zatrudnieniem, które wypełniało wszystkie chwile: tak serce moje przesiąknięte jest nudą i smutkiem!

Powziąłem tedy nagle inne postanowienie; umyśliłem opuścić Europę i udać się do Ameryki.

Narządzano<sup>65</sup> w tej właśnie chwili w porcie B\*\*\* flotę do Luizjany; porozumiałem się z kapitanem statku, zawiadomiłem o zamiarze Amelię i zająłem się przygotowaniem do podróży.

Siostra moja znalazła się blisko bram śmierci; ale Bóg, który przeznaczał jej najczystsza palmę dziewiczą, nie chciał jej tak rychło powołać do siebie; próba jej tu na ziemi miała trwać dłużej. Zstąpiwszy po raz drugi w uciążliwą drogę życia, bohaterka, zgięta pod krzyżem, posuwała się mężnie naprzeciw cierpień, widząc w walce już tylko triumf, a w nadmiarze cierpień nadmiar chwały.

Sprzedaj niewielkiego mienia, które mi pozostawało i które odstąpiłem bratu, przygotowani związane z wyprawą, przeciwne wiatry zatrzymały mnie długo w porcie. Chodziłem co rano zasięgnać wiadomości o Amelii; za każdym razem wracałem z nową przyczyną podziwu i łez.

Błądziłem bez ustanku dokoła klasztoru zbudowanego nad brzegiem morza. W małym, zakratowanym okienku wychodzącym na opustoszałe wybrzeże spostrzegałem często zakonnice, siedzącą w postawie pełnej zadumy; marzyła, spoglądając na Ocean, gdzie pojawiał się od czasu do czasu statek pomykający ku krańcom ziemi. Wiele razy przy blasku księżyca widziałem tę samą zakonnice w kratkach okna; spoglądała na morze, oświetlona gwiazdą nocy, i zdawała się nastawiać ucha na pomruk fal, które łamały się smutno o samotne wybrzeże.

<sup>65</sup>narządzać (daw.) — przygotowywać. [przypis edytorski]

Zdaje mi się, że jeszcze słyszę dzwon, który wśród nocy zwoływał zakonnice na czuwanie i modły. Podczas gdy dzwonił z wolna, a dziewice udawały się w milczeniu do ołtarzy Wszechmocnego, ja biegłem pod klasztor: tam, sam jeden u stóp murów, słuchałem w świętej ekstazie ostatniego dźwięku śpiewów, które mieszały się pod sklepieniem świątyni ze słabym odgłosem fal.

Nie wiem, w jaki sposób wszystko to, co powinno było podsycać me zgryzoty, tępiło, przeciwnie, ich ostrze. Łzy moje zawierały mniej goryczy, kiedy je wylewałem na skały, wśród wiatrów. Cierpienie moje nawet, dzięki swej niezwykłej naturze, przynosiło z sobą niejaką osłodę: miłe jest to, co nie jest pospolite, nawet gdy samo w sobie jest nieszczęściem. Powziąłem stąd niemal nadzieję, że i siostra będzie z czasem mniej nieszczęśliwą.

List, który otrzymałem od niej przed wyjazdem, zdawał się utwierdzać mnie w tej myśli. Amelia użalała się tkliwie mej boleści i upewniała, iż czas złagodzi jej zgryzotę. „Nie rozpaczam o mym szczęściu — mówiła. — Teraz, kiedy ofiara się spełniła, sam nadmiar jej pomoże mi odzyskać niejaki spokój. Prostota moich towarzyszek, czystość ich ślubów, jednostajność życia, wszystko to rozlewa balsam w mojej duszy. Kiedy słyszę, jak huczą nawałnice i jak ptak morski bije skrzydłami o me okno, wówczas ja, biedna gołębicą niebios, myślę o szczęściu, jakim jest dla mnie, iż znalazłam schronienie przeciw burzom. Tutaj jest góra święta; wyniosły szczyt, z którego słyszy się ostatnie odgłosy ziemi i pierwsze harmonie nieba; tutaj to religia usypia łagodnie tkliwą duszę; najgwałtowniejsze porywy miłości zastępuje jakąś żarliwą czystością, w której jednoczy się kochanka i dziewica; oczyszcza westchnienia; znikomy płomień zmienia w płomień niezniszczalny; łączy niebiańsko własny spokój i niewinność z resztką wzruszeń i rozkoszy serca, które szuka odpoczynku, i życia, które odchodzi”.

Nie wiem, co niebo mi przeznacza i czy chciało mnie ostrzec, że burze wszędzie będą towarzyszyły moim krokom. Wydano rozkaz odjazdu; już o zachodzie słońca kilka okrętów rozwinęło żagle. Postanowiłem spędzić jeszcze ostatnią noc na lądzie, aby napisać pożegnalny list do Amelii. Około północy, podczas gdy zajęty jestem tym zadaniem i podczas gdy wilżę papier mymi łzami, łomot wichrów uderza moje uszy. Słucham i wśród nawałnicy odróżniam wystrzał z działa na trwogę, zmieszany z jękiem klasztornego dzwonu. Pędzę na brzeg, wszystko opustoszałe, słyhać jedynie ryk bałwanów. Siadam na skale. Z jednej strony rozpościerają się błyszczące fale, z drugiej posępne mury klasztoru gubią się mglisto w niebiosach. Wątle światelko pojawia się w zakratowanym oknie. Czy to ty, o moja Amelio, rozciągnięta u stóp krucyfiksu, prosisz Boga nawałnic, aby oszczędził twego nieszczęśliwego brata? Burza na falach, spokój w twoim zaciszu; ludzie rozbici o rafy, u stóp schronienia, którego nic nie może zmącić; nieskończoność poza murami twej celi; niespokojnie chwiejące się światła okrętów, niewzruszona latarnia wieżowa klasztoru; niepewność losów żeglarza, westalka<sup>66</sup> streszczająca w jednym dniu wszystkie dni swego życia; z drugiej strony, dusza taka jak twoja, Amelio, burzliwa jak Ocean; rozbicie straszliwsze niż rozbicie marynarza: cały ten obraz dotąd trwa głęboko wyryty w mej pamięci. Słońce tego nowego nieba, ty, które teraz jesteś świadkiem moich łez, ty, echo amerykańskiego brzegu, powtarzające wykrzykniki Renégo!... Nazajutrz to po owej straszliwej nocy, oparty o burt<sup>67</sup> statku, patrzyłem na oddalającą się na zawsze ziemię rodzinną! Długo śledziłem na wybrzeżu ostatnie kołysania drzew ojczystych oraz wieże klasztoru, zapadające się na kraju widnokągu.

Kiedy René dobiegał do końca opowiadania, wydobył ukryty na łonie papier i podał ojcu Suel; następnie, rzucając się w ramiona Szaktasa i dławiąc łkanie, czekał aż misjonarz przebiegnie oczami list, który mu oddał.

List był od przełożonej \*\*\*. Zawierał opowieść ostatnich chwil siostry Amelii z Zakonu Miłosierdzia, która zmarła jako ofiara swej żarliwości i poświęcenia, pielęgnując towarzyszkę dotkniętą zaraźliwą chorobą. Cały klasztor był niepocieszony i uważał Amelię wprost za świętą. Przełożona dodawała, iż od trzydziestu lat, przez które stoi na czele Zgromadzenia, nie widziała jeszcze zakonnicy o bardziej słodkim i równym usposobieniu, ani też bardziej zadowolonej, iż porzuciła utrapienia świata.

<sup>66</sup>westalka — w starożytnym Rzymie dziewicza kapłanka strzegąca świętego ognia w świątyni Westy. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>burt (daw.) — dziś: burta, boczna ściana kadłuba statku. [przypis edytorski]

Szaktas tulił Reného w ramionach; starzec płakał.

— Moje dziecko — mówił — chciałbym, aby ojciec Aubry był tutaj; umiał on dobyć z serca jakiś dziwny spokój, który uciszając burze, nie zdawał się im wszelako obcym; był to niby księżyc w burzliwą noc: kłębiące się chmury nie mogą go unieść w swej pogoni; czysty i nieskażony sunie spokojnie ponad nimi. Niestety, co do mnie, wszystko mnie przejmuję i wzrusza!

Aż do tej chwili ojciec Suel, nie mówiąc słowa, słuchał z surowym obliczem historii Reného. Miał w głębi współczujące serce, ale na zewnątrz okazywał się nieugiętym; roztkliwienie sachema wyrwało mu te słowa:

— Nic — rzekł do brata Amelii — nic w tej historii nie zasługuje na litość, jaką ci okazują. Widzę w tobie młodego człowieka, zadurzonego w chimerach, którego wszystko mierzi<sup>68</sup> i który uchylił się od ciężarów społeczeństwa, aby się oddać bezpożytecznym marzeniom. Nie jesteś, młodzieńcze, człowiekiem wyższym przez to, iż widzisz świat w odrażającym świetle. Jeśli kto nienawidzi ludzi i życia, to jedynie dlatego, iż wzrok jego nie sięga dość daleko. Wyteż oczy nieco lepiej, a przekonasz się niebawem, że wszystkie cierpienia, na które się żalisz, to jeno wielkie nic. A co za wstyd, iż nie możesz myśleć o jedynym, rzeczywistym nieszczęściu swego życia, iżbyś nie był się zmuszonym rumienić! Cała czystość, cała cnota, cała pobożność, wszystkie korony świętej zaledwie pozwalają ścierpieć samą myśl o twoich zgryzotach. Siostra twoja odpokutowała swój błąd; ale jeżeli mam wyjawić mą myśl, lękam się, iż mocą straszliwej sprawiedliwości, wyznanie, które wyszło z łona jej grobu, zmąciło z kolei twoją duszę. Co robisz sam w głębi tych lasów, w których trawisz dni, zaniedbując wszystkie obowiązki? Święci, powiesz, zagrzebywali się w pustyniach? Zamykali się tam, aby płakać, i obracali na gaszenie swych namiętności czas, który ty trwonisz może na rozpalanie swoich! Młody pyszałku, który mniemałeś, iż człowiek może wystarczyć sam sobie! Samotność zgubna jest temu, który nie żyje w niej z Bogiem; potęguje ona władze duszy, a równocześnie odejmuje im wszelkie pożywienie. Ktokolwiek otrzymał siły po temu, winien je poświęcić ku służbie bliźnich; jeżeli zostawia je bez użytku, odpokutuje to natychmiast tajemną męką, a wcześniej lub później niebo zsyła nań straszliwą karę.

Samotność, Melancholia,  
Kondycja ludzka

Samotność, Melancholia,  
Pycha

Poświęcenie, Obowiązek,  
Kondycja ludzka

Wstrząśnięty tymi słowy, René podniósł z łona Szaktasa zawstydzoną głowę. Ślepy sachem uśmiechnął się; ten uśmiech ust, który nie kojarzył się już z uśmiechem oczu, miał coś tajemniczego i niebiańskiego.

— Synu mój — rzekł sędziwy kochanek Atali — surowo przemawia nasz ojciec; daje naukę starcowi i młodzieńcowi; i ma słusność. Tak, trzeba, abys się wyrzekł tego osobliwego życia pełnego samych zgryzot; szczęście znajduje się jeno na powszechnych drogach.

Szczęście

Jednego dnia Meszasebe, dość blisko jeszcze źródła, sprzykrzyła sobie, iż jest jeno przezrzystym strumieniem. Zażądała śniegu od gór, wód od strumieni, deszczów od burz, wystąpiła z koryta, pustosząc urocze wybrzeża. Dumna rzeka czuła się zrazu szczęśliwą swą potęgą; ale widząc, że wszystko zmienia się w pustynię na jej drodze, że płynie opuszczona w swej samotności, że wody jej są zawsze mętne, pożałowała skromnego łożyska, które wyzłobiła jej natura, pożałowała ptaków, kwiatów, drzew i strumieni, niegdyś skromnych towarzyszy jej cichego biegu.

Szaktas zamilkł; słychać było jeno głos flaminga, który ukryty w nadbrzeżnych trzcinach zwiastował na południe burzę. Trzej przyjaciele skierowali się do swych chat. René szedł w milczeniu między misjonarzem, zatopionym w modlitwie, i ślepym sachemem, który szukał drogi. Powiadają, iż naglony przez obu starców powrócił do małżonki, ale nie znalazł przy niej szczęścia. Zginął niedługo później wraz z Szaktasem i ojcem Suel, podczas rzezi Francuzów i Naczeźów w Luizjanie<sup>69</sup>. Pokazują jeszcze kamień, na którym zwykł był siadać o zachodzie słońca.

<sup>68</sup>mierzić (daw.) — brzydzić. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>rzeź Francuzów i Naczeźów w Luizjanie — spowodowani przez francuskiego komendanta Nachezi w listopadzie 1729 zaatakowali fort Rosalie, zabijając niemal wszystkich spośród 150 osadników i uprowadzając kobiety, dzieci i niewolników. W odwecie Francuzi i sprzymierzeni z nimi Czoktawowie najechali wioski Naczeźów. W latach 1730–31 Naczezi zostali całkowicie pokonani i rozproszeni, pojmany sprzedano w niewolę, pozostali dołączyli do innych plemion; do 1736 przestali istnieć jako odrębny lud. [przypis edytorski]



---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. 99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rene>

Tekst opracowany na podstawie: François-René de Chateaubriand, Atala, René, Ostatni z Abenserażów, tłum. i wstęp Tadeusz Boy-Żeleński, nakł. Drukarni św. Wojciecha, Poznań [1921].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Łukasza Jachowicza. Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Marta Niedziałkowska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0125-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.